

zabawka Basi, stara lalka już się porwała. Misia dostałam od rosyjskiej dziewczynki, której w zamian za zabawkę oddawałam przez miesiąc swój chleb. Tego wieczoru nawet wrzątek był smaczniejszy, a kasza bardziej syta. Radość napełniała nasze serca, bo stan zdrowia Basi znacznie się poprawił. Nastąpił przełom w chorobie, powoli odzyskiwała mowę, uczyła się siadać, chodzić i nowych słów. W dzień Wigilii mama przyniosła dwie koledy kolędy, które dotarły do naszej osady:

*„Wśród nocnej ciszy. Głos się rozchodzi.*

*Wstań Sybiraku. Bóg się Wam rodzi.*

*Jedzie do Was śnieżną nocą.*

*Pośród gwiazdek co migocą na nad Waszą dolą.*

*Małeńka Bozia, z niebieskich bram.*

*Niesie dzieciątko i podaje Wam.*

*A dziewczyna Boża, święta. Już wyciąga swe ręczęta.*

*Błogosławi Was. Błogosławi Was.”*

Dруга kolęda to:

*“Do szopy Sybiracy. Do szopy, bo tam cud.*

*Syn Boży w żłobie leży. By zbawić biedny lud.*

*Mróz ścisła, głód dokucza. Wiatr wieje z mroźnych pól.*

*Sybirski Polak płacze. Lecz mężnie znosi ból.”*

Siostra powoli dochodziła do zdrowia i mama zaprowadziła ją do lekarza. Ten zdziwił się, że ona jeszcze żyje. Polakom nie można było dawać leków, więc lekarz zalecił mamie, by siostrę odżywiała. Mamie udało się załatwić mleko i dzięki temu Basia wypijała codziennie pół szklanki mleka.

Wiosną 1943 roku siostra wyzdrowiała, ale zachorowała mama. Była słaba i wyczerpana, trawiła ją gorączka przez kilka dni. Był to tyfus, potem przyplątała się malaria. Mama leżała w betach, nie chodziła do pracy. Dzięki boskiej pomocy i Pani Somiakowej po dwóch miesiącach mama wyzdrowiała. W tym czasie starsza młodzież wyruszyła do Armii Andersa. Cioci Stankiewiczowej syn też wyjechał i po dość krótkim czasie zabrał swoją mamę, która już po wojnie zamieszkała w Kanadzie. Ciocia dała mamie płaszcz, buty i koc oraz trochę innych rzeczy. Gdy ciocia wyjeżdżała zostawiła nam drewnianą skrzynkę, która była naszym stołem i szafą. Przywieźliśmy ją ze sobą do Polski.

Po chorobie mama wróciła do pracy. Choroby nas nie opuszczały, bo Kazia i ja zachorowaliśmy na malarię. Ataki trawiły nas co trzy dni, ale ja-koś wyleczyliśmy się.

Zaczęło się lato. Mamę ze szwalni przeniesiono na oddział skór mokrych. Była to bardzo ciężka praca. Nie można było nic ukraść do przetworzenia na odzież, ale za to dawała inne możliwości. Można było uzyskać skórę nadającą się na buty. Z wielkim ryzykiem można było wynieść skórę na zelówki lub cholewki. Polski szewc kupował je od mamy, lecz płacił jej grosze. Za cztery podeszwy mogliśmy kupić 1 litr jęczmienia, dzięki czemu mogliśmy jeść kaszę co drugi dzień. Mama z Panią Somiakową i swoimi starszymi córkami wybierały się do Żenasemij, gdzie kupiły trochę mydła i mąki. Ponieważ byłam już dużą dziewczynką, miałam już 11 lat, mama wysłała mnie do Pana Filipowicza ze skórami. Towar miałam pod sukienką, przywiązany do ciała. Jego mieszkanie było dużą izbą przeznaczoną dla czterech osób, z których każdy miał swoje miejsce do spania, a pośrodku izby stał stół. W tym domu nie brakowało mleka i chleba oraz innego jedzenia. To też był Sybir – dziwne. Widział, że jestem głodna, ale nigdy nie dał kawałka chleba. Był bardzo skąpym

człowiekiem. Prawdopodobnie przed wojną był bardzo bogaty, bo ożenił się z bogatą dziedziczką, chociaż sam był szewcem. Żona jego wcześniej zmarła. Po wojnie jednak los się odwrócił i był biedny, chorował i na starość umierał sam. W mojej główce narodziło się poczucie krzywdy, zaczęłam odczuwać, że on nam za mało płaci. Powiedziałam o tym koledze, synowi Pani Somiakowej. Karol zgodził się w tej sprawie ze mną. Postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce.

[...] z uwagi na istniejące warunki na zesłaniu, częstokroć praca dzieci, nawet tych, których obowiązek ten nie dotyczył stawała się koniecznością życiową. Ileż to razy lektura zesłańców wspomnień potwierdza ów fakt i rzuca więcej światła na problemy związane z warunkami życia wielu tysięcy matoletnich, których zły los związał na parę lat z syberyjską ziemią. Penetrują one świat najbardziej szary, o którym trzeba wiedzieć, że stanowił zesłańców codzienność jakim były głód, choroby, zimno i nierzadko śmierć. Obecnie, dawne zesłańcze dzieci, częstokroć schorowane, żyjące z syberyjską traumą, w przeważającej części stanowią społeczność Związku Sybiraków.\*

\* R. Rybicki, Na syberyjskim zesłaniu. Przyczynek do rozważań o pracy dzieci, [w:] „Zesłaniec”, s.24

Mama nic nie podejrzewała. Przygotowała skóry i kazała iść do szewca. Ja jednak nie posłuchałam jej i poszłam na bazar do miasta. Było tam tłoczno i gwarно. Byłam tam pierwszy raz. Zaczepiałam Kazachów, którzy patrzyli nam mnie ze zdziwieniem, aż wreszcie jeden z nich zainteresował się moją ofertą. Kazach wziął mnie za rękę i poprowadził do jakiejś bramy. Zaczęłam się bać. Weszliśmy a on mnie pyta, gdzie mam te skóry, więc podniosłam sukienkę i pokazałam towar. Skór podszwowych miałam na dwie pary butów i piękną skórę na buty z cholewkami. Zapytał mnie ile chcę za te skóry. Podałam sumę, która była trzykrotnie większa niż to co nam płacił Polak. Kazach wziął skórę i zapłacił mi ile chciałam oraz dał dodatkowe dwa ruble, żebym przyniosła mu skórę następnym razem. Powiedział gdzie będzie czekał i nakazał nikomu innemu nie proponować swoich skór. Również nakazał mi, żebym na targ nie chodziła, bo tam jest dużo milicji i można iść do więzienia. Zrozumiałam swój błąd, ale następnym razem poszłam już w umówione miejsce, gdzie on już na mnie czekał. Kilka razy zaniiosłam skórę na targ, ale po dwóch miesiącach przyszedł szewc z Polski do mamy i spytał dlaczego nie przynosimy mu już skór. Mama się zdziwiła i odpowiedziała, że ja co tydzień chodzę ze skórami do niego, i że dziękujemy, że tak dużo za nie płaci. Szewc zbladł, a ja musiałam powiedzieć prawdę. Wreszcie szewc powiedział, że ma pilne zamówienie i potrzebuje skóry, więc zapłaci tyle ile trzeba, ale ciagle narzekał na jakość skór. Miałam jednak gotową odpowiedź, że nie musi ich brać, bo ja mam na nie kupca.

Chyba w 1944 roku powstała Polska szkoła. Dzieci polskie zaczęły chodzić do tej szkoły. Nauka polegała na słuchaniu opowieści Pani, a my robiliśmy na drutach dla niej swetry, mankiety, kieszonki, patenty. Nie pisaliśmy, ani nie czytaliśmy, bo nie było podręczników. Była nas garstka, więc łączono klasy. Taka szkoła to była dla nas frajda, ale w głowach pozostawało pusto. Jedynie pamiętałem inscenizację „Jancko Muzykant” i taniec kwiatów. Te dwie inscenizacje przygotowaliśmy dla gości, którzy przyjechali ze Związku Polaków. Raz mama dostała z tego Związku paczkę, w której były buty, cukier i mąka. Mama trzymała te zapasy na „czarną godzinę”. Zawsze powtarzała, że jak przyjdzie czarna godzina, to co wtedy będzie? Latem 1944 roku do osady przyjechał kominiarz i trafił do naszej chaty. W domu były tylko małe dzieci, reszta była w pracy. Na widok przybysza zaczęliśmy skakać z radości krzyząc „czarna godzina!”. Chłopina był zdziwiony powitaniem, a jego wizyta sprawiła na tyle radości, że stał jak wryty. My obdarowałyśmy go wszystkimi zapasami i nawet oddaliśmy mu nasze płaszczki, które mama trzymała w razie potrzeby, żeby je komuś sprzedać. Kominiarz spakował skarb do worka, a płaszczki powiesił na kiju. Wór zarzucił na plecy i poszedł. Przechodząc koło strażnicy zauważyli go czujni strażnicy i zarekwirowali skarby na „czarną godzinę”. Chłop wszystko opowiedział, wezwano nasze mamy, które rozpoznały nasze rzeczy, nam dostało się bardzo porządne lanie. Z upływem czasu wszyscy śmiali się z „czarnej godziny”, a teraz śmieją się też moje wnuki. Kilka takich zabawnych epizodów przeżyliśmy, i to one wnosiły trochę śmiechu, który stawał się lekarstwem na niedolę i pomagał przetrwać.

Były też i smutne historie- zmarła córka sąsiada Szurkina, a synów zabrano do wojska. Potem mieliśmy pogrzeb Pana Kociuszki. Naszą izbę opuściły dwie osoby, który poszły do Armii Andersa.

Do naszej osady przywieziono rodziny niemieckie, który mieszkali koło Kujbyszewa. Gdy przywieźli kobiety z dziećmi przybiegliśmy ich witać. Byli bardzo ładnie ubrani, a było ich około dwudziestu rodzin. Z upływem czasu ich kolorowe stroje zaczęły blednąć i marnieć. Również musieli zacząć walczyć o przetrwanie. Nasza społeczność zamieszkującą tę osadę fabryczną była społecznością wielokulturową. Mieszkali tu Rosjanie, Tatarzy, Kazacy, Polacy, Żydzi, Niemcy a potem też Czecheni, których przetransportowano z kolchozu. Różniliśmy się między sobą tylko jednym szczegółem, bo jedni byli tubylcami, a drudzy wysiedleni przymusowo i byli niewolnikami. Ta druga grupa wykonywała najcięższe prace za marne grosze, które nie wystarczały nawet na kupienie chleba.

W okolicy Semipałatyńska zimą temperatura spada do blisko - 50 stopni i wówczas nie wychodzi się z izb. Przy - 40 stopniach była nauka w szkole. Pamiętam jeden poranek zimowy, gdy szłam do szkoły. Nie miałam jeszcze dwunastu lat, byłam wątła, słaba, niedożywiona i ubrana w łachmany, czyli pozostałości z Polski, albo co sami potrafilśmy zrobić. Noś siłam długi płaszcz, duże buty, nogi miałam owinięte szmatami. Nie było gazet, radio czy termometru, więc nie wiedzieliśmy ile jest stopni mrozu. W drodze do szkoły, jeszcze wtedy ruskiej, musiałam iść mimo mrozu. Lekcje były obowiązkowe, nie można było na nich mówić po polsku. Polskie dzieci oprócz języka rosyjskiego musiały też wykonywać wszystkie roboty porządkowe: odśnieżanie, zamiatanie podwórka, zaopatrywanie szkoły w opał czy torf. Torf znoszono latem.

Przeszłam już około 3 kilometrów w kierunku szkoły w Zatoniu, gdy zza chatki z gliny i drzewa wybiegł czarny, duży pies. Był podobny do wilka, groźny, warczał i szczyrzył kły, by w końcu rzucić się na mnie. Krzycza-

łam, ale nikt mnie nie słyszał. Cudem udało mi się wygrzebać z torby kawałek suchego chleba, który miał być moim całodziennym posiłkiem. Rzuciłam chleb daleko od siebie i pies pobiegł w tamtą stronę. Wstałam i szybko pobiegłam do chatki. Kazach domyślił się, że szłam do szkoły, więc próbował mi wytłumaczyć, że szkoła jest zamknięta z powodu mrozu. Już miałam wracać do domu, ale jego żona mnie zatrzymała, zdjęła ze mnie płaszcz i podała trochę wrzątku do picia. Ze skrzyni wyjęła stare walonki i włożyła mi na nogi, a moje stare buty wrzuciła mi do torby. Byłam bardzo szczęśliwa, gdy wracałam do domu, bo nie czułam już zimna. Po powrocie wprowadzono mnie na dwór i natarto śniegiem. Mój nos był odmrożony. Mimo mrozów mamy chodziły do pracy, jednak my miałyśmy zostawać w domu.

ZIMA BYŁA DŁUGA, TRWAŁA OD POŁOWY PAŹDZIERNIKA DO POŁOWY KWIETNIA. Z nadejściem wiosny lód szybko zniknął a rzeką Irtyysz płynęła olbrzymia kra. Przed każdą ziemianką była lodowa górka nieczystości, które zgromadziły się w czasie zimy. Tam wyrzucaliśmy śmieci i tam załatwialiśmy się. Z nastaniem wiosny trzeba było je szybko usunąć. Rozbijano lód łomami i wrzucano do rzeki, albo zakopywano w stępie. W przeciwnym razie smród byłby bardzo duży i mogłoby to spowodować epidemię. Z fabryki pożyczano taczki i łomy i sprzątano teren. Przy tej czynności było sporo kłótni, bo mieszkano razem pięć rodzin i każdy uważał, że to nie jego odchody.

Z każdym dniem słońce grzało coraz mocniej, a głód i cierpienie stawały się lżejsze. Z lasu przynosiliśmy mniej opału, bo jedynie do palenia pod kuchnią.

Jak tylko przewieziono nas z Akszi do Semipałatyńska, mi przypadła rola zaopatrzeniowca w opał. Wiosna była radosna, bo nie trzeba było już tyle opału co zimą. Moja starsza siostra robiła swetry na sprzedaż, a ja zajmowałam się opalem, zbieraniem chrustu i szyszek. Na grube i suche gałęzie trzeba było wykupić kwit u leśniczego. Na nie było na to stać. Czasem udało się pożyczyc siekierę i narąbać grubych gałęzi, ale było to dość ryzykowne, bo nie dość, że leśniczy odbierał drzewo to jeszcze zgłaszał sprawę milicji. Początkowo las był blisko osady, około 3 kilometrów. Potem ta odległość stawała się coraz większa. Z worka robiła sobie plecak, na górę składałam wiązkę chrustu i tak szłam do domu ze swoim bagażem. Byłam podobna do mrówki, ponieważ mój bagaż był większy niż ja sama. Gałęzie były suche, ale miały swoją wagę. Praca ta była ponad moje siły. Ubrana była jedynie w majteczki i boso chodziłam do lasu. Nogi bardzo mnie bolały, bo gdy z piaszczystej ścieżki wchodziło się do lasu, to szyszki bardzo kuły kłuty w stopy.

Różne epizody z sybirskiego życia przypominają się nam, bo w takim zbiorowisku było jak w młynie: rozpacz i śmiech przeplatały się na co dzień. Na szczęście to już przeszłość.

W 1945 roku, po zakończeniu wojny, utworzono jedną cerkiew w Semipałatyńsku. Gdy dowiedzieliśmy się o ty tym, poprosiliśmy mamę i w kilka osób poszliśmy tam. Była to pora przed Wielkanocą, chyba to był kwiecień, bo było dość ciepło. Przy wejściu do cerkwi siedziały kobiety z miseczkami słodkiego ryżu. Każdy z przechodniów brał kilka ziaren, wymieniał parę zdań z gospodynią i odchodził. Karol i ja wzięliśmy dwie pełne łyżki tego ryżu, a gospodyni się do nas uśmiechnęła i powiedziała: do końca życia musicie się za zmarłego modlić. My jednak nie zwracaliśmy na to uwagi. Bywając w cerkwi podbieraliśmy ryż z tych misek, bo coś wrzucić do pustych brzuchów.

Wojna się skończyła, a my nadal trwaliliśmy w tych warunkach. Wreszcie nadeszła wiosną 1946 roku. Pod koniec kwietnia krążyły pogłoski, że wracamy do Polski. Tym razem mama uwierzyła, że to prawda. Załadowano nas na samochody ciężarowe i zawieziono na stację towarową do Semipałatyńska. Znów przeznaczone dla nas były wagony towarowe, ale w każdym wagonie było tylko po cztery rodziny. Okna nie były zabite, a drzwi otwarte. Pociąg zatrzymywał się na postoje na stacjach. W czasie transportu dostawaliśmy jakieś jedzenie (zupę, wodę i chleb), ale już w dzień. W czasie transportu podziwialiśmy widoki, choć były mocno zniszczone wojną. Przyroda jednak była przepiękna. Poczta pantoflową posłała wiadomość, żeby w czasie przekraczania granicy śpiewać „Rotę”. Zaraz za tą wiadomością poszła druga, żeby się modlić. Okazało się, że transport miał być wysadzony po przekroczeniu granicy, a znakiem była „Rota”. Poszła też wiadomość, że wracają rosyjscy Żydzi. Tym razem znowu czuwała nad nami Opatrzność.

W Lublinie dostaliśmy niewiele pieniędzy i trochę odzieży. Transport nasz był skierowany do Szczecina. W Pile znalazł nas wujek i przywiózł do Brzegu Dolnego. Tu spotkaliśmy się z krewnymi. Rodzina zaczęła traktować mamę jako dodatkową siłę roboczą. Okazało się też, że wujek fałszował dokumenty robiąc wszystkim, żeby mama się o tym nie dowiedziała.

Brakowało taty, który już nie wrócił. Został rozstrzelany. Po aresztowaniu więziony był w Ostaszkwowie i w Twerze, a rozstrzelany w Miednoje.

4 grudnia 1947 roku zmarła moja starsza siostra Kazia. Miała jedynie osiemnaście lat. Przyczyną jej śmierci była malaria, przywieziona z Syberii. Po jej śmierci mama bardzo zachorowała. Minęło kilka lat zanim czas ukoił rany, chociaż wspomnienia wracają cały czas.

---

*[...] dobrze jest też mieć na uwadze, że niezwykle ważną sprawą dla każdego narodu jest zachowanie i utrwalenie swojej pamięci historycznej. Albowiem sprawy terażniejsze mają częściowo swoje źródło w przeszłości. A sprawy przyszłe w terażniejszości. Dobrze jest o tym pamiętać.\**

\* R. Rybicki, Na syberyjskim zesłaniu. Przyczynek do rozważań o pracy dzieci, [w:] „Zesłaniec”, s. 29

NA ZESŁANIU BYŁAM DZIECKIEM, nie pamiętam wszystkich szczegółów, chociaż niektórych obrazów z tego okresu nie zapomnę nigdy. Moja mama, Teofila Nizio, żona policjanta, który został aresztowany w Śniatyniu, opowiadała mi niektóre historie.

Ja dowiedziałam się niedawno z pisma MSW (w czerwcu 1999 roku), że gdy byliśmy już na Sybirze, dopiero wtedy tatę wywieźli transportem do Ostaszkowa, więziony w Twerze, rozstrzelany i po- grzebany w zbiorowej mogile w Miednoje. Tę wiadomość dostałam już tutaj, po 50-ciu latach od zakończenia wojny. Moja mama umierając nie znała tej prawy. Zmarła w styczniu 1997 roku, a na rok przez śmiercią ponownie zaczęła opowiadać dużo o Sybirze, dzięki czemu wiele pojedynczych historii z mojego dzieciństwa zaczęło tworzyć spójną całość. Dlatego dopiero teraz moje dzieci i wnuczka mogą poznać prawdę tamtych dni i lat.

*Mimo, że wspomnienia świadków są niezawodne w swej prostocie przekazu, to bardzo trudno jest przelożyć na słowo pisane, to co w samej swej istocie jest jak sądzą, nieprzekazywalne, czyli cierpienie. Zwłaszcza cierpienie wielkie. Jest ono niezwykle subtelną strukturą, w zasadzie niedostępną w całości nikomu, kto tego nie doświadczył.\**

\* Ibidem, s. 29

CYTATY POCHODZĄ Z PISMA RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU  
GŁÓWNEGO ZWIĄZKÓW SYBRAKÓW „ZESŁANIEC”, NR 47, ROK 2011.

WYDAWNICTWO: **mimau**  
WROCLAW 2011

PROJEKT OKŁADKI: MARIA MAJNUSZ  
REDAKCJA: MAJA ŻYŁAJTYS  
SKŁAD I ŁAMANIE: MARIA MAJNUSZ  
KOREKTA: MAJA ŻYŁAJTYS I MICHAŁ WROŃSKI

COPYRIGHT (C) AURELIA ŻYŁAJTYS 2011  
WYDANIE I

WYDAWNICTWO **mimau** MAJA ŻYŁAJTYS  
UL. GAJOWICKA 92/54  
53-422 WROCLAW

DRUK: REPROTECHNIKA WROCLAW

ISBN 978-83-934302-0-8